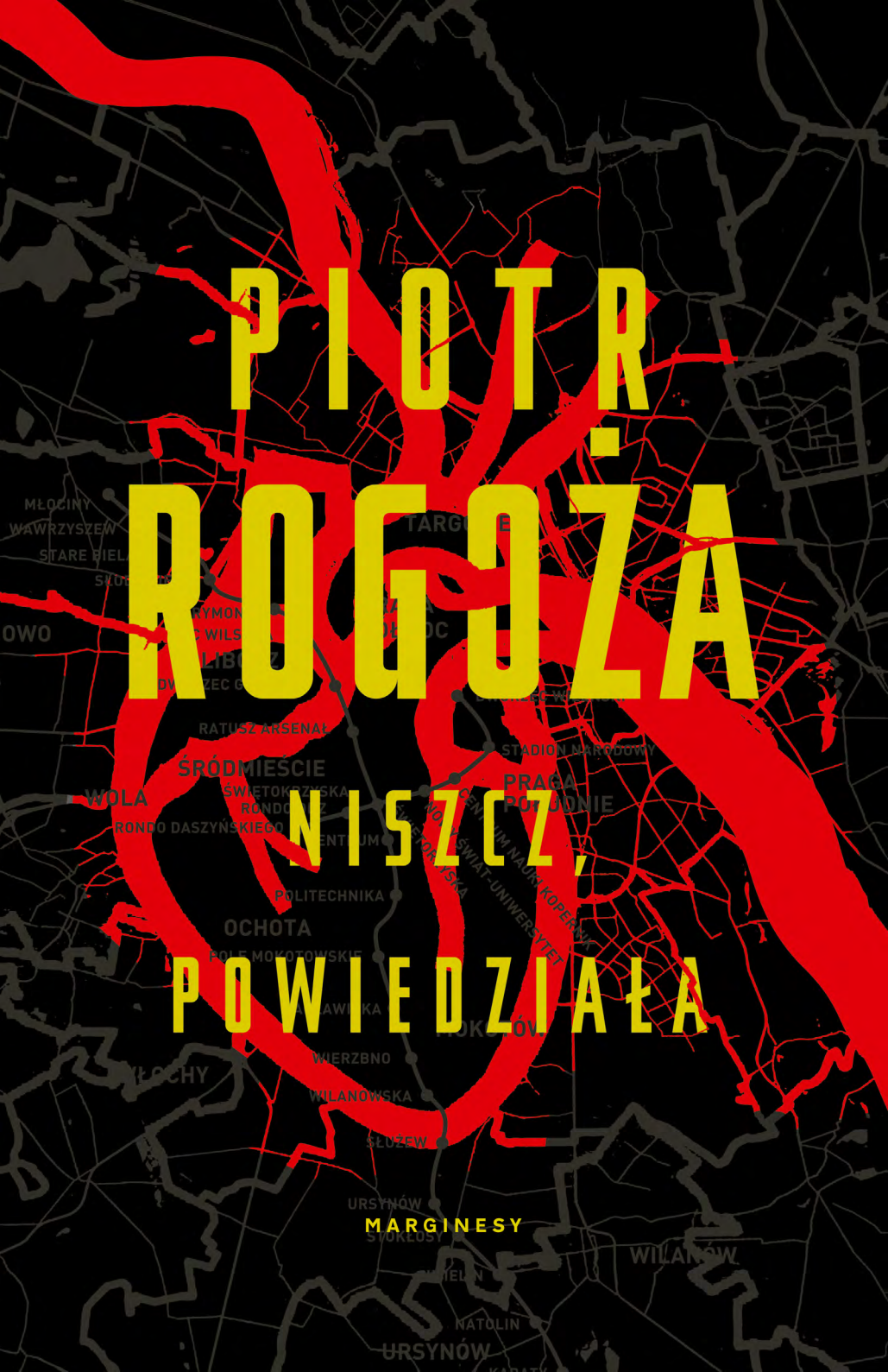




PIOTR ROGOŹA NISZCZ, POWIEDZIAŁA

MARGINESY

Into that darkness
into that darkness
in the hovels and gutters
her face to the storm

Death in June, *She Said Destroy*

PROLOG

Być może znasz już moją twarz. Wkrótce poznasz całą historię, ale nie spodziewałbym się prawdy.

Internet przetrawi informacje na mój temat i wyrzyga setki artykułów, komentarzy i statusów na Facebooku. Pojawią się rozmaite interpretacje i wątpliwości, oczywiście nie zabraknie też kpin, ale to już nie mój problem. W pewien sposób przecież zwyciężyłem.

Podchodzę do okna, otwieram szeroko. Dwunaste piętro, Warszawa rozlewa się morzem światła. Przesuwam wzrok wzdłuż poszarpanej linii dachów, wytyczającej granicę między miastem a nocnym niebem. Widać tylko najjaśniejsze gwiazdy, reszta ginie w toksycznej poświacie, za to księżyc wydaje się dziś bliski jak nigdy.

Chce mi się śmiać. Tak naprawdę od dawna zdawałem sobie sprawę, że zbliża się koniec, ale nie chciałem w to uwierzyć. Nadal nie potrafię uwierzyć, że to już. Ta noc nie ma w sobie nic realnego.

Wychylam się głęboko za okno, wiatr całuje mnie w policzki. Nie wytrzymuję i śmieję się głośno, choć bardziej na miejscu byłoby łyzy. A Warszawa śpi niespokojnie, Warszawa drży, jakby wszystko przeczuwała. Może już śni o wielkim ogniu, burzy płomieni, przed którymi nie ma ucieczki. Cały świat

zajmie się pożarem, nic nie będzie takie jak do tej pory. Ten ogień już się tli.

Dziwi mnie, że nie czuję strachu. Pewnie ze zmęczenia. Bałem się wcześniej, teraz nie, jakby nie było już we mnie miejsca. Idę do kuchni, wydaję z lodówki butelkę wódki. Trochę jeszcze zostało, niezbyt dużo, ale zawsze. Noc była długa. Leję do szklanki.

Wasze zdrowie, przyjaciele. Wypijam na raz, krzywię się. Zimno spływa przełykiem, tego mi było trzeba. Dolewam jeszcze, do końca. Szkoda, że to już wszystko.

Patrzę na swoje odbicie w oknie. Nie mam twarzy, tylko zdjęcie, które pozna cała Polska. Jestem płaski i półprzezroczysty. Nie mam nazwiska. Składałem się wyłącznie ze słów, które napisałem. Ze słów, które zostaną o mnie napisane. Składałem się z kłamstw, nic na to nie poradzę.

Pozostaje czekać. Siadam na podłodze naprzeciw drzwi wejściowych, spokojnie dopijam wódkę. Wasze zdrowie.

Czekam na was.

Czekam, aż nadejdzie Światło.

CZARNY ANIOŁEK

Zachowaj choć trochę godności.

Powtarzam to sobie w myślach i na głos. Słowa tracą sens, stają się tylko dźwiękami. Wszystko traci sens.

Ewelina powinna przyjechać już dawno. Oczywiście spóźnia się specjalnie, na pewno sprawia jej to satysfakcję. Doskonale zdaje sobie sprawę, że czekam i że nie jest mi łatwo. To bardzo w jej stylu, chce do samego końca czuć, że rozdaje karty. Wyobrażam sobie, jak wyjmuje telefon, upewnia się, że jest spóźniona już dwadzieścia minut, odnajduje wzrokiem moje okno i powolutku zapala papierosa.

Powinienem napisać jej esemesa: „Od teraz co minutę wyrzucam na ulicę losowo wybrany przedmiot, więc rozsądnie byłoby jednak ruszyć dupę, chyba że wolisz zbierać graty z chodnika :)”. Powinienem wystawić kartony na klatkę schodową, zamknąć mieszkanie i pojechać gdzieś, choćby do Wiki. Powinienem wyłać butelkę domestosa na jej ubrania. Oczywiście nic takiego nie zrobię.

Na pewno ucieszyłaby się, czując ode mnie alkohol, więc choć o niczym na świecie nie marzę tak mocno jak o otwarciu piwa, to jednak popijam herbatę. Denerwuję się na siebie, bo w ten sposób znowu przyjmuję jej warunki. Ciągłe gram w tę grę na jej zasadach, nawet teraz nie potrafię przejść w końcu kontroli.

Zastanawiam się, co jej powiedzieć. Powinnaś się cieszyć, bo ktoś inny na moim miejscu rozegrałby to zupełnie inaczej, a ja naprawdę byłem za dobry. Jesteś skończoną kretynką i mam szczerą nadzieję, że kiedyś to do ciebie dotrze. Nic się nie zmieniło i wciąż czekam, kiedy mi oddasz pieniądze. Powinnaś sobie to wszystko przemyśleć, dziewczyno, i wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Cokolwiek bym powiedział, pokiwa tylko głową. Nie słuchała mnie nigdy, teraz nie posłucha tym bardziej.

Patrzę na rozstawione w przedpokoju kartony. Myślałem, że jej rzeczy uzbiera się więcej. Trochę ciuchów, torebki, buty, dosłownie kilka książek, kosmetyki, ale głównie rzeczy z kuchni: tani ekspres do kawy, zastawa stołowa, plastikowe naczynia, kubki. Akcesoria do zabawy w dom. Zatrzymuję na dłużej wzrok na zestawie foremek do pieczenia.

Lubisz, jak w domu pachnie świeżym ciastem?

Nie, wolę, jak rozesyłasz nagie zdjęcia jakimś fiutom.

Chyba nawet nie zdążyła użyć tych foremek. Nie podejrzewam, żeby w ogóle miała taki zamiar.

Idę do pokoju, siadam w fotelu. Zastanawiam się, czy odczuję brak tych wszystkich przedmiotów. Rozglądam się, przesuwam spojrzeniem po półkach, na których zwolniło się miejsce. Mieszkanie rzeczywiście już teraz wydaje się wybrakowane, zubożałe, niekompletne. Myślę o siostrze Eweliny, Goście, którą naprawdę polubiłem. Młoda była u nas jeszcze dwa tygodnie temu. Obiecała, że zachowamy kontakt, ale wiadomo, jak jest. Jej na pewno będzie mi brakować.

Odkąd stało się jasne, że sprawy zaszły za daleko, regularnie wyobrażałem sobie chwilę, w której drzwi ostatecznie zamkną się za Ewelina jak okładka nietraфionej książki. W wyobraźni czułem

żał, że po raz kolejny zabrnąłem w ślepy zaułek, czułem ulgę albo radość, czasem złość. Na pewno zawsze coś czułem.

Teraz nic nie czuję. Nawet złość na siebie zaraz przechodzi. Przecież nie muszę nikomu niczego udowadniać.

Wstaję więc po piwo i dokładnie w tym momencie stłumiony pisk domofonu informuje, że ktoś wszedł na klatkę. Nareszcie. Zamiast do kuchni, wracam do przedpokoju. Otwieram drzwi, czekam dłuższą chwilę, aż winda wjedzie na dwunaste piętro.

Nadciąga z dwoma kolesiami, rozpoznaję jednego. Miesiąc temu zrobiła u nas imprezę dla znajomych z pracy, on przyszedł jako pierwszy i pomagał przyszykować stół. Sympatyczny przygłup, takie wyrośnięte dziecko. Nie mogę sobie przypomnieć, jak ma na imię. Drugiego, rudego z cwaniakowatą gębą, nie kojarzę w ogóle.

– Cześć – mówi Ewelina. Widzę, że jest zmęczona.

– Cześć – odpowiadam.

Rzuca mi szybkie spojrzenie. Wchodzi do środka, towarzysze idą za nią. Podają mi bez słowa ręce, uroczy dureń nawet się uśmiecha. Czyżbym na twarzy rudego dostrzegał pogardę? Nawzajem, palancie.

– Dzięki, że to pozbierałeś – mówi Ewelina.

Kiwam głową. Spodziewałem się, że będzie drobiazgowo przeglądając swoje śmieci, ale chyba nie ma na to siły. Nie wierzę, że może dokądkolwiek się śpieszyć.

– Najpierw te najcięższe, zaniemiemy do samochodu – mówi przygłup. – Weźmiemy jedno na drugie, to nie trzeba będzie dwa razy łązić.

Jakoś im się udaje. Matoł łapie się za dwa kartony naraz, trzyma je przed sobą, zasłaniają mu widok. Cwaniak chwyta trzecie pudło, Ewelina bierze ostatnie, najlżejsze, to z kuchennym badziewiem. Wychodzi pierwsza.

– Cześć – mówi.

– Cześć – odpowiadam.

Zastanawiam się, czy wprowadzi się właśnie do tego rudego chujka. Pewnie tak, pewnie to dla niego pozowała wypięta pod prysznicem. Nie mam pojęcia, kim on jest. Widzę jego plecy, gdy bez słowa wychodzi za Ewelina. Jest niższy ode mnie, niewiele wyższy od niej.

Czuję przypływ szczerzej sympatii dla przygłupa, który rusza jako ostatni, taszcząc trzy czwarte jej dobytku. Naprawdę nic nie widzi zza kartonów. Przytrzymuję mu drzwi.

– To na razie, Szymon – sapie.

– No, trzymaj się – odpowiadam.

Zamykam za nimi. Słyszę jeszcze, jak przygłup klnie na klatce, chyba nie trafił w drzwi do windy. Nareszcie sięgam do lodówki po upragnione piwo.

A więc to już. Szybko i sprawnie, cała operacja zajęła im może dwie minuty. Ewelina zniknęła z mojego życia i mogę zacząć udawać, że nigdy się w nim nie pojawiła. Zły cień opuścił bajkową dolinę. Ding-dong! wiedźma nie żyje.

Zanim otworzę puszkę, przykładam ją na chwilę do czoła, cieszę się tym chłodem. Czuję, że lekko drżą mi ręce. Wypiłbym to piwo duszkiem. Jedno, drugie, trzecie i potem czwarte. Ale nie zrobię tego.

– Zachowaj choć trochę godności – mówię do siebie.

Powtarzam jeszcze raz, szeptem.

Wika świdruje mnie wzrokiem skupionym jak laser, jeszcze moment i przetnie na pół. Dawno się nie widzieliśmy i trochę już zapomniałem, na czym to polega: ona nie mruga. Jest jak drapieżny kot, który hipnotyzuje ofiarę, zanim skoczy jej do gardła. Nie potrafię wytrzymać tego spojrzenia, zaglądam do butelki, jakbym spodziewał się dostrzec na dnie coś więcej niż tylko resztkę piwa. Siedzimy w Chwili na Żelaznej, w pubie, który swego czasu był dla nas drugim domem.

– A więc gra skończona – mówi Wika. – Ostatecznie zamknąłeś rozdział pod tytułem Ewelina.

– Dokładnie tak.

– I nie będziesz próbował do niej wrócić?

Podnoszę wzrok.

– Nie jestem idiotą.

– A jeśli to ona spróbuje? Wracasz do domu, a ta laska leży zwinięta w kłębek na wycieraczce i skamle, że popełniła błąd. Bardzo, ale to bardzo cię kocha i prosi o wybaczenie, tylko wpuść ją z powrotem.

– Zadzwońiłbym po policję.

Wika kiwa głową. Widzi, że jestem pewny swoich słów.

Jej nie sposób oszukać, to ludzki wariograf, wyczuje najdrobniejsze niedopowiedzenie, natychmiast zauważy milisekundę

zawahania. Powinna pracować w jakichś tajnych służbach, rozpracowywać obce agentury, pasowałaby idealnie, błądy cyborg z dredami spiętymi w kitkę. Przez te wielkie jasne oczy i trójkątną twarz wygląda jak zjawą, ale to pozory. Biada temu, kto się na nie nabierze. Wika od trzynastego roku życia ćwiczy karate tradycyjne, jest wykuta z żelaza. Na studiach pokonała w siłowaniu na rękę wszystkich chłopaków z naszej grupy.

– Sucz z niej nieprzeciętna – mówi. – Zabiłabym ją za to, jak cię potraktowała. Współczuję bardzo.

– Dzięki.

Lekko przechyla głowę.

– Strasznie mało mówisz, Szymon. Krótkie, proste zdania. Jak nie ty.

Uśmiecham się.

– Bo nie bardzo wiem, co powiedzieć.

Wika zamyśla się. Wiązka lasera właśnie przebija mi głowę i wypala dziurę w ścianie.

– Tak naprawdę to wydaje mi się, że historia twoja i Eweliny jest, nie gniewaj się, w pewien sposób dość typowa – mówi. – Oczywiście, pomijając wątek tych fotek, bo to jednak z jej strony arcykurewstwo. Podziwiam twoje opanowanie, tak swoją drogą, bo gdybym to ja dowiedziała się, że ktoś wywinął mi coś takiego, to przysięgam, żyłby może jeszcze przez minutę.

Wyobrażam sobie Wikę stojącą z nożem nad drgającym ciałem niewiernego partnera. Choćby mordowała w amoku, w największym afekcie, to w ciągu sekundy po wbiciu ostrza w serce ofiary zdążyłaby opracować dwa solidne alibi. Zanim ciało runęłoby na podłogę, miałyby już gotowy plan, jak się go pozbyć. Nigdy nie dałaby się złapać.

Mówi dalej:

– To jest chyba osobny gatunek lasek, takie modliszki. Mój brat też kiedyś na taką trafił, poznałeś go chyba, nie?

– Chyba tak – kojarzę niejasno. – Jacek, prawda?

– No, Jacek. A tamta szmata to Monika, nieważne zresztą. W każdym razie scenariusz wyglądał bardzo podobnie, wielka miłość, ale tylko do momentu, gdy się do niego wprowadziła.

– Skąd się znali?

– Chodzili razem do liceum u nas w Żyrardowie, byli w równoległych klasach. No i niby już wtedy się w nim kochała, ale jakoś przypomniawszy sobie, dopiero jak znalazła go w necie, na Naszej Klasie jeszcze, bo to dobrych dziesięć lat temu było, i zobaczyła, że całkiem nieźle sobie w życiu radzi. W przeciwieństwie do niej. Gładko poszło, Gadu-Gadu, telefony, spotkania na weekend. Jakies długi jej jeszcze pomagał spłacać, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie, gdy już uwiła sobie u niego gniazdko i trochę obrosła w stolicy w piórka, zaraz pofrunęła w długą. Bo znalazła kogoś, kto radził sobie jeszcze lepiej od Jacka.

– Faktycznie można dostrzec podobieństwa.

– Akurat wtedy się okazało, że istnieje jeszcze na świecie sprawiedliwość, bo Moniczka jakoś zaraz potem zaciążyła. A jej nowy gach szybko pokapował się, z kim ma do czynienia, i bez większych rozterek wykopał ją z domu. Po narodzinach dzieciaka zażądał testów na ojcostwo i niespodzianka, okazało się, że to nie jego. Chyba w ogóle nie udało się ustalić, kto gówniarza zmajstrował, bo Moniczka cały czas szukała po klubach lepszych kandydatów na męża i sama już nie wiedziała, kogo właściwie pozywać o alimenty. Jacek był gotowy zapłacić w razie potrzeby za testy, gdyby i do niego przyszła, ale miała chociaż tyle przyzwoitości, żeby dać mu już spokój.

Dopijam piwo. Wika mówi dalej:

– Więc, koniec końców, Jacek wyszedł na tym najlepiej. Pobolało, jasne, musiało, bo jednak zawróciła mu mocno w głowie. Ale mogło być gorzej. Mógł w tym szambie całkiem utonąć. Ty też mogłeś, a nie utonąłeś.

– No, to prawda. Mogłem stracić dużo więcej.

– A, jest jeszcze epilog. Laska razem z nie wiadomo czym synusiem zwinęła się z powrotem do Żyrardowa i o ile wiem, gnije tam do dzisiaj. Synuś dostał od losu chromosom gratis, chyba za grzechy matki, więc już całkiem jest wesoło.

– Dżizas... – Kręcę głową.

Wika wstaje i idzie do baru po następne dwa piwa. Jej dredy sięgają już prawie do pośladków; zastanawiam się, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Na pewno nie zdarzyło się to, odkąd zamieszkała u mnie Ewelina, a więc od prawie pięciu miesięcy. Mimo to czuję się w jej towarzystwie bardzo swobodnie. Gdybym miał nazwać kogoś przyjacielem, to chyba już tylko ją. Odkąd zamieszkałem sam, to właśnie Wice powierzam zapasowy komplet kluczy, na wypadek gdybym swoje zgubił. Najpierw do kawalerki na Hożej, teraz do dziupli na Granicznej. Gdybym nie miał dokąd pójść, poszedłbym do Wiki.

Wraca, uśmiecha się, choć ktoś, kto jej nie zna, zobaczyłby raczej skrzywienie ust. Podaje mi butelkę, sama przelewa sobie piwo do szklanki.

– Na pohybel wszystkim szmatom.

– Na pohybel.

Upijamy po kilka łyków. To dobry moment, żeby zmienić temat.

– A powiedz, jak u ciebie z robotą? – pytam. – Znalazłaś już coś?

– Już nawet nie szukam, mam stałego klienta. Finansowo wychodzę na pewno nie gorzej, a odpada kiblowanie w biurze.

– Wciąż marketing?

– Powiedzmy. To nie agencja, tylko duży fundusz, właściwie cała grupa kapitałowa, siedzą głównie w nieruchomościach, ale nie tylko, w branży medycznej też na przykład, produkują jakiś sprzęt ambulatoryjny. W każdym razie jest co robić, pracy dla gra-

fika nie brakuje. A u ciebie jak? Mielicie w agencji jakieś zawiro-
wanie, dobrze pamiętam? Zmieniło się coś?

– No, tyle że wtedy nas bujało, a teraz idziemy prosto na dno.
Firma się zwija, zostajemy tylko do końca miesiąca.

– No, to nieźle się w czasie z Ewelina zbiegło.

– Nie no... – Macham ręką. – Od dawna było wiadomo, że tak to
się skończy. Trochę szkoda, bo naprawdę lubiłem tych ludzi. Ale nie
ma dramatu, wszyscy się zdążyli oswoić, nagrać sobie inne roboty.

– Ty też masz już coś?

– Rozesłałem CV, pewnie niedługo zaczną dzwonić. Trochę
kasy odłożyłem, nie pali mi się mocno pod dupskiem. Jakoś to
będzie, coś się znajdzie.

Znów patrzy mi prosto w oczy.

– Trochę cię podziwiam, Szymon – mówi. – Jak by tego nie
nazywać, właśnie ci się życie sypie, a ty sprawiasz wrażenie, jakby
w ogóle cię to nie ruszało.

– To właśnie słowo klucz: wrażenie. – Uśmiecham się. – Je-
stem tym wszystkim cholernie zmęczony po prostu, sporo ner-
wów straciłem. Tłumaczę sobie, że życie nie kończy się na związ-
kach i pracy. A mała przerwa chyba dobrze mi robi.

– Zdrowe podejście, w pełni popieram. Praca znajdzie się
sama, za dobry jesteś, żeby rynek pozwolił ci przepaść. Zobaczysz,
zaraz zaczną spływać oferty. A lasek poznasz jeszcze wiele, młody
z ciebie facet, całkiem przystojny i niegłupi.

– No już.

– Po prostu następną dziewczynę musisz mi przedstawić do
oceny, ja się znam na ludziach.

Śmieję się.

– Serio mówię. – Wika z udawaną powagą kręci głową. – A jak
coś, deal z pierwszego roku ciągle aktualny.

Na początku studiów umówiliśmy się, że jeśli do czterdziestki
oboje pozostaniemy sami, weźmiemy ślub, żeby rodziny nie ma-

rudziły. Wtedy brzmiało to abstrakcyjnie, nie wiem, co bardziej – czterdziestka czy życie singla.

– Gramy w scrabble? – pytam.

– A mało ci życiowych porażek? Nie ma, że się zlituję, wiesz o tym?

– Zobaczymy.

Pudełka z grami leżą na regale przy ścianie. Sięgam po scrabble. Chyba nigdy jeszcze nie wygrałem z Wiką i nie mam złudzeń, że uda się właśnie dziś. Za to nie wyjdziemy stąd wcześniej, jestem tego pewien. Cieszę się, że ją znam.



NIECH ARTERIAMI POPŁYNIE KREW!

Szymon, trzydziestoletni copywriter, widzi, że uczestniczy w upiornej grze, gdy hasło reklamowe, którego jest autorem, zostaje wykorzystane przez terrorystów odpowiedzialnych za śmierć kilkunastu osób w warszawskim metrze.

Nagle piętrzą się dziwne przypadki, a nowi pracodawcy zdają się skrywać wiele sekretów. Obłąd gęstnieje, granica między rzeczywistością a spreparowaną kreacją szybko się zaciera. Od tego, czy Szymon w porę zrozumie zasady tej rozgrywki, zależy los... no właśnie: kogo? Całego miasta?

Kto tak naprawdę jest ofiarą, kto wrogiem, a kto przyjacielem? Ślady prowadzą w warszawską noc i rozmywają się w jesiennej szarudze. Życie zaczyna przypominać fikcję reklamy...

Niszcz, powiedziała to wciągający thriller, a jednocześnie portret środowiska, w którym handluje się tym, co bezcenne – ideami.

www.marginesy.com.pl



cena 34,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

ANTYRADIO

PORTAL
KRYMINALNY

POCISK

w sprzedaży także

